

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.

Czynne od g. 12—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 80 zł.

1/2 " — 40 "

1/4 " — 20 "

1/8 " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Nieunikniony koniec.

Że w polityce niema żadnych sentymentów, jest to truizm ogólnie znany i nie budzący żadnych wątpliwości. Że dzisiejsi zawzięci i nieprzejednani, zdawałoby się, wrogowie — jutro mogą zamieniać serdeczne uściski, również jest zjawiskiem powszednim. Na naszych oczach skrajna nienawiść niemiecko-angielska podczas wojny — szybko stopniała i przeobraziła się niemal w „entente cordiale”. Obecnie obserwujemy podobny objaw w stosunkach polsko-rosyjskich.

Propagowana usilnie przez nielicznych doktrynerów i utopistów oraz przez pozbawionych wszelkich wpływów b. obszarników mińsko-mohylewskich krucjata całego świata zachodnio-europejskiego z Polską na czele przeciwko czerwonej, wywrotowej Rosji, oczywiście, z góry była skazana na niepowodzenie. Pomysł wznowienia wypraw krzyżowych zanadto trącił donkiszoterją. Wobec jednakże zdecydowanie antibolszewickiego nastroju szerokich sfer społeczeństwa polskiego, nastroju, wypływającego z naturalnych przeciwieństw psychologiczno-kulturalnych, a podsycanego gorliwie i umiejętnie przez prasę wszelkich odcieni, poczynając od prawicy aż do lewicy z P.P.S. i Wyzwoleniem włącznie, — trudno było przypuszczać, aby w tej atmosferze mogła się zrodzić myśl o jakimkolwiek zbliżeniu i współdziałaniu ze zniechęconymi, wyklinanymi i odsądzanymi codziennie od czci i wiary, wspomaganymi przez piekielne moce, bardziej czarnymi i szatańskimi od samego Belzebuba i Lucypera — Sowietami!

A jednak zapowiedź wizyty Cziczeryna w Warszawie wywarła wpływ magiczny. Najbardziej agresywne względem „państwa czczewiczajek” organy, prześcigające się wzajemnie w doborze wyszukanych epitetów pod adresem mongolskiej dziczy, zdegene-

rowanych katów, mafji żydowskiej, nagle, jakby za uderzeniem czarodziejskiej laski, ucichły, uspokoiły się, złagodniały, od połajanek przeszły do krytyki rzeczowej, a wobec osoby p. Cziczeryna nawet odnalazły słowa pełne kurtuazji i uprzejmości.

Pobył parodniowy czerwonego komisarza do spraw zagranicznych w Warszawie, uświetniony licznymi bankietami i rautami, nie tylko nie wpłynął ochładzająco na opinię publiczną polską, lecz przeciwnie wzmocnił w niej jeszcze bardziej i utrwalił skłonność do zmiany dotychczasowego frontu. Wystarczyło jakiegoś tajemniczego kiwnięcia z pałacu Brühlowskiego, by nastąpił raptowny zwrot na całej linii.

Cóż więc takiego przywiózł ze sobą p. Cziczeryn, że wywołało to aż tak nieoczekiwany efekt?

Na ten temat krążą najprzeróżniejsze wersje. Prasa polska o propozycjach Cziczeryna milczy uporczywie, poprzestając na ogólnikach i dając tylko do zrozumienia, że są one dla państwa polskiego niezmiernie korzystne, wzmacniając jego pozycję w obecnym doniosłym momencie przełomowym, gdy waga się w Locarno losu paktu bezpieczeństwa i zarysowuje się nowy układ sił na arenie międzynarodowej.

Nie wiadomo również, czy wizyta p. Cziczeryna dała jakieś konkretne wyniki, czy była tylko wstępem do nawiązania ściślejszych stosunków i dalszych pertraktacji, pierwszym krokiem, mającym utorować nową drogę, przełamanie tylko pierwszych lodów. Faktem niewątpliwym wszakże pozostaje, że polska myśl polityczna, oscylująca dotychczas pomiędzy dwiema biegunowo sobie przeciwnymi koncepcjami: Dmowskiego i Piłsudskiego, ostatecznie przechyliła się ku pierwszej, wznowiając w zmienionej formie i w nowych warunkach przedwojenną orientację filorosyjską, która cieszyła się takim powodzeniem i uznaniem w społeczeństwie polskim po wybuchu wojny wszechświatowej.

Było do przewidzenia, że dotychczasowe stanowisko Polski, podejmujące walkę na dwa fronty z oparciem się jedynie o Francję, na dłuższy czas nie da się utrzymać. Można też zrozumieć, że wobec aktualnego zagrożenia granic zachodnich przez Niemcy, kierownicy polityki polskiej szukają oparcia i pomocy z tej strony, z której nie grozi niebezpieczeństwo natychmiastowe. Czy jest to jednakże polityka przewidująca i rozsądna — to inna kwestja. Polityka Polski w obecnej chwili przypomina postępowanie zadłużonego przedsiębiorcy, który aby zapobiec jutrzejszemu protestowi weksła, zaciąga dług u lichwiarza na wysoki procent z dalszym terminem, rachując na jakieś niespodziewane okoliczności pomysłne, które zażegnają nieuchronne bankructwo.

Jasnym bowiem jest, że Rosja nie występuje tu w roli bezinteresownego przyjaciela. Nie omylimy się chyba, przypuszczając, że odsetki od zaoferowanej przez Rosję pomocy, poza wszelkimi układami natury finansowej i gospodarczej, będzie stanowiło przedewszystkiem *desintéressement* Polski w sprawie ekspansji polityczno-terytorjalnej Sowietów nad Bałtykiem, do której zmusza je zaostrzający się antagonizm z Anglią. Pozostawienie Moskwie wolnej ręki w stosunku do Łotwy i Estonji — oto pierwszy nieunikniony warunek wszelkiego porozumienia polsko-rosyjskiego.

Być może wzamian za to Polska otrzyma wolną rękę w stosunku do Litwy, ale korzyści stąd płynące dla obu stron bynajmniej nie będą równe. Zagarnięcie krajów nadbałtyckich przez Rosję — ogromnie ją wzmacnia, wówczas gdy sięgnięcie Polski po Litwę tylko ją osłabi. W rezultacie imperja-

lizm sowiecki, odzyskawszy dostęp do morza, zwróci swe apetyty w kierunku zachodnim i odroczenie częściowej likwidacji interesu musi się zakończyć ostatecznem i całkowitem jego bankructwem.

Jedyna droga, wytknięta zupełnie słusznie i racjonalnie w teorii przez Piłsudskiego, chociaż w praktyce przezeń nie stosowana, zmierzająca do osłabienia Rosji za wszelką cenę, za pomocą jej rozczłonkowania i popierania ruchów emancypacyjnych na jej kresach, a więc w pierwszym rzędzie białoruskiego i ukraińskiego z uwzględnieniem w całej pełni interesów Litwy, Łotwy i Estonji — może zapewnić polityce polskiej samodzielność i uratować ją od hazardownych posunięć. Ale taka polityka wymaga ze strony Polski ofiar na rzecz Litwy, Białorusi i Ukrainy, do których nie jest ona zdolną i do których nigdy nie dopuszczają czynniki rządzące dziś Polską, wzdychające przedewszystkiem do odzyskania utraconych rynków zbytu nad Wołgą, Donem i Amurem.

To też nie można się łudzić co do niedalekich już być może losów, jakie oczekują, jeżeli nie całe państwo polskie, to w każdym razie ziemie litewsko-rosyjskie, wystawione na pierwszy ogień.

O profesora — Białoruśina.

Niedawno biskup sufragan wileński ks. Michalikiewicz w porozumieniu z rektorem seminarjum duchownego ks. J. Uszyłą usunął ze stanowiska profesora seminarjum ks. d-ra J. Reszecia i przeniósł go do Białegostoku. Białoruscy posłowie — katolicy wystosowali w tej sprawie do Nuncjusza Apostolskiego w Warszawie następujące pismo, datowane

Wycieczka nad Narocz.

Było to w sierpniu r. 1913. W licznej gronie wybraliśmy się nad jeziora, które ciekawym pod każdym względem systemem wód rozmieszczają się olbrzymim łukiem we wschodniej części powiatu Świąciańskiego.

Gdybyście wiedzieli, ile jest piękności tam, w tych puszczech ciemnych, wonnych żywicą, szumiących tajemniczą gwarą prastarych ech, w tych lasach rozmaitych jak światy całe: to zwartych, jak zaczarowany bór w bajce, to rozwierających swe wiecznie zielone łono, by pozwolić wyrzeć wśród wzgórz błękitno-opalowemu oku jeziora... Gdybyście wiedzieli!

Ale może i lepiej tak; żadni „turyści” nie macili wówczas ciszy i pierwotnej dzikości tych okolic, nie ploszył nikt białych mew, wiecznie muskających srebrnymi skrzydłami niebieską powierzchnię olbrzymiego Narocza, nikt nie rwał na bukiety do wazonów „Modern Style” ziół przedziwnych, które tam tylko rosły, i żadnemu z rozczochranych malców rybackich wiosek nadbrzeżnych nie przychodziło do głowy zbierać w dzbanuszki bajecznej słodyczy i wielkości maliny i ożyny, dojrzewające na wyspach, by je potem łaskawym gościom sprzedawać.

Rybę tylko tępiono tam od wieków niemilosier-

nie. Cały naród rybacki: chłopcy na wszystko inne leniwe i wyjątkowo brudne, bo, rzecz prosta, przy tak wodnym zajęciu nie uznające dodatkowego używania kąpeli, ale ambitne i uważające swe rzemiosło za honorniejsze od chodzenia za sochą lub służbą we dworach, rok cały „pluszczą się” po jeziorach. Są tam rody sławetne, znane z chytrych do ryby, wiążące olbrzymich siatek, podwójnych i potrójnych „trehubic”, z których już się nie wymknie nie tylko większa ryba, ale i drobna „uklejka”, skupowana przed wojną do fabryk pereł.

Całe pokolenia hodoją się na rybie w wicherach i wodzie i służy im to zajęcie na powietrzu oraz zdrowe, choć „postne” jadło, bo ludność tamtejszych wiosek odznacza się jednością i pewnym animuszem, różnym od ogólnej senności białoruskiego ludu.

Niema już teraz tych rybaków...

Wojna zniosła z powierzchni ziemi i drzewa i wioski nadjeziorne, a błękitne wody Narocza zabarwiła na czerwono.

Ale w on czas, rok przed wojną, a dwa lata przed tem, jak temi brzegami pędzić miała owa sławna szarża kawalerji niemieckiej, której czołowe oddziały oparły się aż pod Żodzinem za Mińskiem, w ów cudny dzień sierpniowy, cała przestrzeń pachnąca wodą i żywicą była spokojna... słoneczna... Tylko okrzyki zachwyty naszego grona, gdyśmy

z d. 1.X, którego tekst podaje „Bielaruskaja Krynica”.

„Do Jego Ekscelencji Nuncjusza Apostolskiego w Warszawie.

Białorusini - katolicy niejednokrotnie już, za pośrednictwem Waszej Ekscelencji, przedkładali Stolicy Apostolskiej sprawę wysoce nienormalnych stosunków w ich życiu religijnym, swoje krzywdy, stąd wpływające oraz środki, któreby mogły przynieść ulgę w tej ciężkiej sytuacji.

Obecnie znów zwracamy się do Waszej Ekscelencji wykazując krzywdę, jaka nas spotkała ze strony wileńskiego diecezjalnego seminarjum duchownego.

Diecezja wileńska, jak to już informowaliśmy Waszą Ekscelencję, w większości swej zaludniona jest przez Białorusinów. Stosunek procentowy Białorusinów-katolików w diecezji wileńskiej tak się przedstawia: w pow. Dziśnieńskim, Wilejskim, Duniłowickim i Wołożynskim Białorusini stanowią do 95%; w pow. Wileńskim, Lidzkim, Święciańskim i Oszmiańskim od 60–70%. (Skrawki terytorjum diecezji wileńskiej, mające odejść do diecezji sąsiednich, pomijamy).

Jednakże duchowne seminarjum diecezjalne w Wilnie z tym stanem faktycznym całkiem się nie liczy, pozostając i nadal instytucją polonizującą katolików-Białorusinów.

W seminarjum tem nie tylko dotąd nie wprowadzono niezbędnych dla przyszłych pasterzy naszego ludu przedmiotów, jako to języka i literatury białoruskich oraz historii Białorusi, ale nie są doń dopuszczani księża - profesorowie narodowości białoruskiej.

Niedawno, jedyny Białorusin profesor seminarjum ks. dr. J. Reszeć, doskonały i światły pedagog, kapłan pobożny, na wniosek rektora seminarjum ks. J. Uszyły, został usunięty z posady przez biskupa sufragana ks. Michalkiewicza.

Jest to jawna w stosunku do nas niesprawiedliwość, najwyraźniej podyktowana przez względy polityczne, albowiem powody, jakie podaje rektor seminarjum, w rodzaju konieczności zredukowania ilości profesorów, decydującej roli odegrać w tym wypadku nie mogły.

Ze względu na ilościową przewagę katolików-Białorusinów w diecezji, elementarna sprawiedliwość nakazywałaby pozostawienie ks. dr. J. Reszecia na stanowisku profesora seminarjum duchownego w Wilnie.

Komunikujemy o tem Waszej Ekscelencji i jednocześnie upraszamy o przesłanie niniejszego Jego Świętobliwości Ojcu Świętemu”.

„Bielarus”

(Ze wspomnień redaktora).

Bodajże w roku 1905 ówczesny biskup wileński baron Edward Ropp myślał już o stworzeniu pisma katolickiego ludowego białoruskiego, a'e zaniechał tego projektu, ponieważ jego doradcy stanowczo byli temu przeciwni. Jednostki o szerszych poglądach zawsze jednak uważały, że dla Białorusinów katolików potrzebna jest gazetka katolicka w ich rodzinnej mowie. Ale nie mogli ci ludzie wprowadzić w czyn swych myśli, gdyż stały na drodze liczne i różne przeszkody, a najbardziej brak pieniędzy.

Właśnie podówczas ukazało się piśmko białoruskie „Nasza Dola”, a po zamknięciu jego przez władze rosyjskie „Nasza Niwa”, które jako spraw religijnych nie tykające, miało czytelników również wśród Białorusinów — katolików. To również było powodem, iż o wydaniu osobnego pisma katolickiego w języku białoruskim przynajmniej na razie myśleć przestano. Ale nie na zawsze. Bo „Nasza Niwa”, bezbarwna na razie, mogłaby z czasem nabrać niewiedzieć jakiego zabarwienia, gdyż ludzie w niej

wysunawszy się z lasu wjechali w żółte nadbrzeżne piaski, zmacili lazurową ciszę drzemących wód. Narocz w czasie owej wycieczki, trwającej 20 godzin, ukazał się nam w różnorodnej szacie: od rana do świtu patrzyliśmy z zachwytem, jak się nam mieniło w oczach, z porankowych uśmiechów przechodząc w żar południa, w lekką, przetkaną tęczą, ciepłą ulewę, siekącą kryształowymi kroplami lustrzaną jego tafłę, potem w purpurę zachodu, w drzemkę wieczorną liljowo-szarą, aż wreszcie w noc wietrzną, przeganiającą tkane księżycem chmury.

Brzeg północny, do któregośmy dojeżdżali, jest piaszczysty. To też widok błękitnej olbrzymiej przestrzeni wodnej, bladej u skraju, a przechodzącej w najcudniejszy, ciemny szafir z odcieniem zielonym na głębinach, przestrzeni, której brzegów przeciwnych dojrzeć prawie nie można, ten żółty, złoty piach, muskany cichą, leniwą falą, łodzi, sieci szare, rozpięte daleko na polach — wszystko daje złudzenie zatoki morskiej.

Jakiś zapach szczególny: wodorostów, ślimaków, ryb, smoły, wody, unosi się i faluje w powietrzu, jak potężny oddech natury. W upalne dni zalatuje z pobliskich wzgórz, pokrytych karłowatą sośniną i jałowcem, ciepły wiew, żywicą przepojony, gdzieś niedaleko kwitną wrzosy i z pod pagórków sączą się kryształowej czystości, lodowato-zimne źródła.

Opodal znajduje się cmentarz. Dziwny zaiste!

Niema tu w pobliżu wioski (jedna chata tylko, Żyda, kupca rybnego), niema tam nowych krzyżyków, tylko dwa, od starości czarne, dwa, wywichnięte z piaszczystej wydmy wichrami jeziorzemi, pochylone i jeden o drugi wsparte, z wypadniętymi ramionami, mają jakieś daty i napisy nieczytelne.

Wiatr gwizdże pomiędzy niemi i klekoce jak wahadłem figurką Chrystusa, wiszącą głową na dół z rękami poodłamywanymi u gwoździ, w jakimś nowem, okropnem męczeństwie.

Nieopisany smutek i martwota, cichy, głęboki obraz śmierci daje ten upiorny cmentarz, nasuwając myśl o jakiejś katastrofie, gromadnej topieli lub zarazie. Przypuszczenia te nabierają szczególniejszego znaczenia, gdy się zważy, że tam właśnie odbyły się pierwsze potyczki i trwały najkrwawsze walki.

Zaiste Chrystus umęczon tam został nowem męczeństwem, i na groby nie starczyło drzew lasu. Ale wtedy smętny ten, tajemniczy zakąt nieznanych zmarłych był nam tylko akordem śmierci w symfonji życia, po to, by je jeszcze radośniej wielbić.

Wyprawa nasza miała za cel brzeg północny, wzdłuż którego jadąc, mieliśmy się dostać na leżącą w tamtej stronie wyspę.

Przed nami, cokolwiek na zachód, kędy się rozciąga pasmo wzgórz pokrytych laskami lub drobną trawą i rozchodnikiem, majaczył zdala ciekawy cypel dziwnego nasypu głazów, ciągnącego się od

pracujący szerszemu ogółowi dotąd nie byli znani i nikt nie wiedział, jakie są ich istotne zamiary. Nacjoniści rosyjscy z „Wileńskiego Wiestnika” i t. p. pisali o „Naszej Niwie”, że to *polската интрига, польские паничы издают беларускују газету і т. п.*, a jednocześnie nacjoniści polscy zarzucali tak zwanym „naszeniwcóm” ótrzymywanie żółdu z Petersburga, uważając ich robotę za intrygę rosyjską. Kto chciał się zbliżyć do redakcji „Naszej Niwy”, by naocznie się przekonać, co zącz, odchodził z niczem, chyba tylko z przekonaniem, że ani rosyjscy, ani polscy nacjoniści w swych zarzutach racji nie mają i że istotny cel gazetki osłonięty jest tajemniczością. Trzeba więc było wierzyć temu, co uwydatniało się z samej treści pisma i co twierdzili redaktorzy, że celem „Naszej Niwy” jest podniesienie poziomu kultury ludu białoruskiego i — nic więcej.

Jednakże ludzie, umiejący wyczuć niebezpieczeństwo nawet tam, gdzie jego nie ma, zawsze byli zdania, że „Nasza Niwa” ma jakieś ukryte cele. Jeśli te obawy były na ustach niekatolików, cóż dziwnego, że w sferach katolickich wciąż podnoszono potrzebę wydawania *wyraźnie i szczerze* katolickiego pisemka. Tembardziej kiedy „Nasza Niwa”, słusznie czy nie słusznie, wtrącała się do spraw kościelnych, a najbardziej, kiedy zaczęła wychodzić tylko grażdanką, wydawanie pisemka katolickiego czcionkami łacińskimi stało się palącą potrzebą. Rzecz dziwna, że nawet ci podejrzeni o ukryte antykatolickie cele też bardzo pragnęli, żeby powstało pisemko katolickie w języku białoruskim. Gotowi byli mu pomagać, czem mogli, a mogli tylko dawać artykuły, gdyż swój organ redagowali rzecz można o żebranym groszu, często — gęsto o głodnym żołądku, w podartych butach i wytartym ubraniu.

W roku 1912, zachęcony przez wielu, uzyskał koncesję na wydawanie „Bielarusa” p. Antoni Byczkowski, pracownik biura asekuracyjnego, ale koncesja leżała spokojnie i może by nigdy nie zrobio-

no z niej użytku, gdyby się nie znalazł śmiałek w osobie p. J. Poźniaka, który zachęcony przez „naszeniwców”, udał się do p. A. B. i oświadczył, że własnymi środkami będzie jakiś czas wydawał pi-semko, byle raz zaczęło wychodzić.

P. A. Byczkowski, po pewnem wahaniu, zgodził się na rozpoczęcie wydawnictwa i w dniu 13 stycznia 1913 roku wydano pierwszy nr. „Bielarusa”. Pracowali w nim bezinteresownie: wyżej pomieniony J. Poźniak, Antoni Lewicki, naturalnie też p. A. Byczkowski i piszący te słowa.

Po ukazaniu się pierwszego numeru wpłynęło prenumeraty i zapomóg od przyjaciół (księży Białorusinów) tyle, że już postanowiono p. p. J. Poźniakowi i A. Lewickiemu płacić aż po 20 rubli pensji. Zdaje się jednak p. Poźniak tylko raz otrzymał tę gażę, gdyż wkrótce kasa zaczęła świecić pustkami, postarał się więc gdzieindziej o miejsce płatne, by móc tylko w wolnym czasie bezinteresownie pracować w piśmie. A. Lewickiemu zaś wkrótce pensję zmniejszono do 15, a wreszcie — 10 rubli. W końcu zabrakło dla niego i tych 10 rubli i Lewicki wystąpił z redakcji, zresztą były i inne po temu powody. Wówczas cały ciężar redagowania, administrowania, korygowania i ekspedycji wziął na siebie i poświęcił się całkowicie „Bielarusowi”. Było to pod koniec 1913-go, a właściwie w 3-im kwartale.

Zmiany te redakcyjne nie odbiły się na wydawnictwie, to jest nie wpłynęły ani dodatnio, ani ujemnie na prenumeratę, która zawsze powoli, ale stale zwiększała się, nie mogąc jednak pokryć kosztów wydawniczych, co zmuszało do szukania zasilków u sympatyków pisma.

Do grona sympatyków należało kilku księży i parę osób świeckich, w tej liczbie pewna magnatka. Właściwie gdyby nie ta magnatka, „Bielarus” musiałby być upaść bardzo prędko, zawdzięczając zaś jej, nie tylko nie upadał, ale ponadto mógł wydawać nawet książeczki treści religijno-moralnej: „Al-

wsi Nanosów, dwa kilometry w głąb jeziora, widzialny w czasie spokojnym nawet z tej odległości.

Wał ten kamienny, złożony z olbrzymich głazów granitowych, stanowi jak dotąd zagadkę dla uczonych, którzy go oglądali.

Nie zdaje się możliwem, żeby przypadek i działanie wód jedynie nagromadziły w taki sposób potężne kamienie. A z drugiej strony ileż trudności technicznych musiałoby kosztować układanie wałów obronnych idących w głąb jeziora, przykrytych wodą większą część roku, lub obramujących brzegi w kilku miejscach od wsi Niesłucza do Nanosów i na przesmyku niskim i piaszczystym, oddzielającym od Narocza jezioro Blado, (które stanowiło zapewne jedną z resztą tych jezior całość). Mimo legend o obronnych zamkach na wyspach, celu tych wałów kamiennych nie można zrozumieć.

Cały brzeg południowy to wielka lesista i bagnista puszcza, schodząca niskimi łąkami ku jezioru, którego dno, porośnięte od tej strony jasno-zielonymi porostami, tworzy kontrast z całością o dnie twardem lub piaszczystem, z piaskiem granitowym, przedziwnie czystem.

Przestrzeń między jeziorem na wschodzie, kędy leży dzika, nędzna wieś Hotowicze, stanowi łąkę piaszczystą, wydmną, porośniętą rzadką trzciną, słońcem i na wyniosłościach krótką trawą, po której

wałęsają się znudzone wyszukiwaniem paszy zwyrodniałe krowiny i kozy żydowskie.

Za ową łąką, o kilkaset kroków rozciąga się jezioro Miaszta z nadbrzeżnymi miasteczkami Nowy i stary Miadzioł; to drugie leży już na przesmyku między Miasztą a Baturynem.

Oba Miadzioły są prawie zupełnie spalone podczas wojny. Dalsza przestrzeń, położona między jeziorami Miasztą a Baturynem, robi wrażenie przynębiające. Długie błotniste groble wywożą zapadającego w czarną, torfiastą maź podróżnego na piaszczyste wzgórza, kędy koń po kolana, a wóz po osie tonie w żółtym piasku.

Wszędzie naokoło lśnią srebrne wody jezior, zastępujących, zda się, drogę jakby zaklęciem, a otoczona wodami przestrzeń daje wrażenie czegoś tak rozpaczliwie jałowego, dzikiego i smutnego, jakby się życie wstrzymało lub wymierało na zastygłej planecie.

Ani trawy, ani drzew innych jak rachitycznie, pokręcone wichrem sosenki i nudne, przewalające się pod stękającymi kołami wozu piachy, tak przepaściste, że, zdaje się, zadławia, zasypia, nie dadzą wyjść z tej okolicy, „za światami” położonej.

Nuda jakaś i trwoga ogarnia i nie prędko się jej człek pozbędzie, zaszywając się powoli w niezmiernie lasy, ciągnące się milami na południe. Brzeg północny natomiast, ten, którym podążała nasza wy-

kahol", „Niekoľki słou ab pakucie", „Miatawyja li stoczki", „Z rodnaŭo zahonu", „Betlejka", „Na szto biełarusam hazety", „Czaławiek na wyszynie swajej hodnaści", „Wyjaśniennie abraŭau r.-k. kaścioła", książeczkę do nabożeństwa „Boh z nami" i „Życio papieża Piusa X". Oprócz tego były przygotowane do druku: „Życio świętych bożych", „Historyja Kaścioła", „Nabożeństwa majowaje" i inne, ale nadleciała burza wojenna i przyprawiła „Biełarusa" o letarg, z którego kiedyś może powstanie z nowymi siłami.

Mówiąc o przyjaciółach „Biełarusa", nie można zapomnieć takich osobistości, jak ówczesny administrator diecezji wileńskiej, który i radą i ofiarą nieraz popierał tę szczerze katolicką gazetkę. Mógłbym też jeszcze wymienić szereg znanych księży, którzy będąc Polakami uważali, jako prawdziwie katolicy kapłani, za stosowne popierać akcję katolicką, chociażby ona była i w białoruskim języku prowadzoną. Wspomnę tu ś. p. ks. prałata Kurczewskiego, ks. Michała Rutkowskiego, który dzielnie mówił i pisał po białorusku i był gorącym rzecznikiem używania jej w kościelnym nauczaniu ludu, i innych. O niektórych znowu wolę... zamilczeć, by im nie wyrządzać dziś „niedźwiedziej przysługi". Wiadomo bowiem dobrze wszystkim, że u nas czasem wystarczy dać parę groszy na jakąś instytucję, albo powiedzieć parę słów w jej obronie, by odrazu zasłużyć sobie u pewnych patentowanych patryjotów na miano zdrajcy ojczyzny, ba! nawet Kościoła i być wnet odsądzonym od czci i wiary. Osobną grupę stanowią ci, którzy w swoim czasie przyznawali się do swej niewątpliwie białoruskości, a dziś chcą uchodzić za sto procentowych Polaków. Wogóle co mądrzejsi księża, niezależnie jakiej byli narodowości, wszyscy odnosili się do tego pisma życzliwie. Papież Pius X przed Wielkanocą roku 1914, na prośbę jednego ze współpracowników „Biełarusa", będącego podówczas w Rzymie, raczył udzielić redaktorowi tej gazety, współpracownikom i czytelnikom błogosławieństwa apostolskiego.

Serdeczną przychylność okazywał Biełarusowi biskup żmudzki Karewicz, i to od swego ingresu, kiedy witał go w Kownie po białorusku ś. p. ks. Dalecki.

Prasa katolicka wszelkich narodowości traktowała „Biełarusa" przychylnie, a wileński „Dwutygodnik Diecezjalny" redagowany faktycznie przez ks. L. Żebrowskiego, zamieścił nader sympatyczną wzmiankę o powstaniu pisma, a potem szczegółową i bardzo pochlebną recenzję o białoruskiej książeczce do nabożeństwa p. t. „Boh z nami".

Nawet „Wilenski Wiestnik" pisał, iż woli otwarcie katolickiego i popierającego unję „Biełarusa", niż zamaskowaną „Naszą Niwę". Tylko „Biełoruskaja Żiźń" zawsze odzywała się zjadliwie, no i stosunki z „Naszą Niwą" nie były zupełnie poprawne, gdyż obie strony miały nawzajem sobie coś do zarzucenia.

Współpracownikami byli częściowo akademicy z Petersburga (dziś już księża), częściowo sami czytelnicy, a wszyscy bezpłatni. Było ich dosyć, i gdyby nie kępowały względy finansowe, można byłoby rozszerzyć pismo i wydawać liczne broszury.

Muszę dodać, że p. A. Byczkowski nie mogąc osobiście pracować w redakcji, ustąpił później i tytuł redaktora faktycznemu kierownikowi gazety, niżej podpisanemu.

Po wojnie kilkakrotnie były czynione próby wskrzeszenia „Biełarusa" zawsze jednak okazywało się, że niema mocnego gruntu pod nogami, czyli mówiąc szczerze niema potrzebnych na to pieniędzy.

A jak się zdaje pisemko takie właśnie, jakim był „Biełarus", przydałoby się bardzo w dzisiejszych nowych warunkach.

B. Poczeko.

cieczka, jest wysoki; droga idzie wielkimi o łagodnych stokach wzgórzami, pomiędzy które tulą się gęsto zabudowane, zarosłe owocowymi ogrodami wioski, o drogach zarzuconych głazami kamiennymi w taki sposób, by tylko tutejszego fasonu „kałamażeczki" mogły się między nie lub ponad nie przeliznąć.

Kiedyśmy wyskoczyli z wozów; by na bujną trawę poroślej łące, otoczonej gajem olchowym, popaść konie, słońce stało u południa i całe jezioro drzemało słodko w srebrnym blado-niebieskim blasku, dając wrażenie jakiegoś tak bezmiernego spokoju, pogody, szczęścia, że wsiadając do łodzi, powoli i z nieśmiałością zanurzaliśmy wiosła w wodę, mącąc jej toń szafirową. Na głębinie ciemniała woda i fala kołysała nas, szepcząc cicho odwieczne melodie.

Przybiliśmy do wyspy w chwili, gdy nagły wicher wzdął wody jeziorne: poczerwiano całe, stało się złe, sine, stalowemi błyski lśniło po wierzchu. Zabielały piany na rąbkach fal, a głąb zakłysała się złowieszczą.

Mewy olśniewająco białemi skrzydłami pruły tę ściemniałą przestrzeń, krzycząc ku niebu i ku jezioru, jakby wystraszone nagle zmęceniem pogody. Kropnął krótki, letni deszcz i nim się skończył, słońce wyrzuciło zza szarpanej wiatrem płachty chmur i grać zaczęło potrójną tęczą we mgle opałowej, co, jak

góra miękka. i cudownie łagodnych barw, otoczyła wyspę i dalekie horyzonty.

Wieczór zastał nas jeszcze na jeziorze. Słońce nurzało się w granatowo-stalowych falach, błękitniejących na przegubach. Podmuch niepokoju szedł po wodzie, bliżej brzegów cichł, nie starczyło mu tchu i słońce polerowało ukojone fale w gładką tafel złoto-żółto seledynową.

Ale gdy noc nastała i my, zapóźnieni, pracownicy kołataliśmy się w ciemności, szukając drogi, jezioro rozhuczalo się na dobre. Wicher darł chmury, owijające młody księżyc na krótkie chwile, i targał jeziorem do dna.

Fale z szumem i chrzęstem rzucanego żwiru leciały nam pod nogi i porykiwały, czarne, lekko śpionione, jakby jezioro przypominało sobie, pradawne morskie życie swoje i, na wspomnienie dawnej potęgi, huczało echem oceanów.

Pędziliśmy tym brzegiem i mówiliśmy, że jest jakoś dziwnie straszno po tak cudnym dniu, że to może topielcy płaczą i że wiechcie słomy, którąśmy palili, by oświetlać sobie drogę po wertepach leśnych, wyglądają jak żagwie wojenne.

Prawie co do dnia, w dwa lata potem płonąła już tam cała, gęsto osiadła wioskami przestrzeń przy formowaniu się frontu...

H. R.

Z mego notatnika.

Wstyd!

Dużo już bzdurstw wszelakich zdarzyło się mi czytać na temat naszego kraju, ale trzeba przyznać, że Naczelny Komitet Akademicki pobił pod tym względem rekord.

„Zapominamy zbyt często, że ziemie obecnie Kresami Wschodnimi zwane, są to ziemie odwiecznie polskie, że ich ludność tubylcza, to takie same szczepy polskie, jak Mazurzy, Wielkopoleanie lub Kaszubi. Nad Ikwą, Horyniem, Piną i Wilją jest ta sama Polska, co i nad Wisłą, Wartą i Bugiem...” — temi słowy rozpoczyna się odezwa Naczelnego Komitetu Akademickiego w sprawie kwesty, organizowanej przez Towarzystwo Opieki nad Kresami.

Cóż można sądzić o poziomie wykształcenia przeciętnego ogółu akademickiego, gdy Naczelny jego Komitet, a więc chyba stanowiący śmietankę młodzieży, wypisuje podobne brednie? Mniejsza już o tendencję odezwy, skrajnie nacjonalistyczną, a więc mocno rażącą w enuncjacji rzekomo bezpartyjnego przedstawicielstwa młodzieży uniwersyteckiej, ale coś za skandaliczna ignorancja, jakie przerażające nieuctwo!

I tak pisze młodzież akademicka, która niedawno przecież, bo w ostatnim roku studiów gimnazjalnych, musiała przejść obowiązujący kurs „nauki o Polsce”. Można powinszować gimnazjom polskim takich maturzystów, a uniwersytetom polskim takich słuchaczy! Wstyd!

I wstyd również, że „Kurjer Wileński” zamieścił odezwę powyższą bez żadnych komentarzy!

Pierwszy krok.

Stałe i wyraźne lekceważenie przez Warszawę „Kresów Wschodnich” znalazło ponownie swój jaskrawy wyraz w pominięciu zupełnym przedstawicieli naszego kraju przy zwoływaniu Rady Gospodarczej, mającej na celu obmyślenie środków zaradczych przeciw ciężkiemu kryzysowi ekonomicznemu w państwie.

Do Rady tej zaproszono przeszło stu reprezentantów handlu, przemysłu i rolnictwa ze wszystkich stron państwa, za wyjątkiem Wileńszczyzny i t. zw. Ziemi Wschodnich.

Oburzyło to nawet potulnych zwykle wileńskich posłów sejmowych i część ich, zgrupowana w „Klubie Pracy”, a więc złożona z p.p. Chomińskiego i Kościalkowskiego oraz senatora Krzyżanowskiego wystosowała do p. Grabskiego i innych dygnitarzy warszawskich telegram, protestujący przeciwko upośledzeniu reprezentowanej przez nich dzielnicy. Protest, zredagowany co prawda w nader łagodnej formie, jak należy przypuszczać, w Warszawie większego wrażenia nie wywoła, chociażby ze względu na niezbyt wpływową rolę, jaką odegrywa na terenie parlamentarnym szczupły Klub Pracy, jako pierwszy jednak krok, manifestujący publicznie niezadowolenie Wilna z centralistycznej polityki rządu, zasługuje na uwagę i podkreślenie.

Pierwszy krok jest najtrudniejszy. Gdy początek jest zrobiony, może się rozwinie akcja dalsza, planowa w kierunku obrony interesów naszego kraju, tak niemiłosiernie wyzyskiwanego i maltretowanego.

Licz.

Przegląd prasy żydowskiej.

(Na marginesie „porozumienia” polsko-żydowskiego).

W związku z przesileniem gospodarczym, które dotkliwie odczuło żydostwo, jako element handlowo-przemysłowy, tudzież ograniczeniami wprowadzonymi przez poszczególne wszechnice przy przyjmowaniu studentów-żydów w bieżącym roku akademickim niektórzy posłowie żydowscy zaatakowali w prasie twórców „porozumienia” polsko-żydowskiego.

Rozpoczął ten atak w sposób bezwzględny poseł Grinbaum szeregiem artykułów, zamieszczonych w „Najer Hajnt”.

Pośpieszył mu w sukurs poseł Hartglas, który w tem że piśmie pod wymownym tytułem „Dość milczenia!” m. in. pisze:

„Tak, możemy powiedzieć bez osłonek: oszukano. Nie wszystkich oszukano. Oszukano tylko tych, którzy naiwnie wierzyli w porozumienie, narobili hałasu i wywołali radość w prasie, która tryumfowała i rozprawiała o nowej erze. „Nie oszukano” tych, którzy cały czas ostrzegali przed przejawieniem faktów; nie dawano im mówić — ale mieli oni rację. Oni też nie są przeciwnikami porozumienia. Wręcz przeciwnie. Pragną oni poprawnego i pokojowego współżycia z narodem polskim i państwem polskim! Ale pragną oni to osiągnąć krok za krokiem, przez wypowiedzenie w sposób głośny a godny całej prawdy a nie przez zamilczanie i zatuszowanie. Nie chcą oni konszachtów i spektakli porozumieniowych, przeznaczonych na eksport”.

Istotnie naiwni są niektórzy członkowie „Koła żydowskiego”.

Wierzyli oni, iż wystarczy zawrzeć porozumienie z rządem p. p. Grabskich, ażeby antysemityzm znikł z powierzchni ziemi.

Naiwne też są żądania posłów żydowskich względem endeków i ich prasy odnośnie zaprzestania agitacji antysemickiej.

Większość posłów żydowskich jak i prasa żydowska dotychczas nie zdają sobie sprawy, że kwestja żydowska musi być podporządkowana sprawie zapanowania w państwie praworządności i przestrzegania konstytucji. Wszelkie zaś histeryczne okrzyki i długie wywody do celu nie prowadzą.

Sprawa istotnego równouprawnienia żydów nie zostanie rozwiązana dopóty, dopóki czynniki miarodajne nie będą się liczyły z faktem, iż Polska jest państwem narodowościowym.

Słusznie więc poseł Hartglas w jednym ze swych artykułów nazwał „porozumienie” polsko-żydowskie jednym wielkim nieporozumieniem.

Miecz. Gold.

Bibliografia.

„Diecezja Mińska i jej Pasterz Biskup Zygmunt Łoziński” Skreślił ks. Witold Czeczott. Wilno. Druk J. Zawadzkiego 1925.

Rola kościoła rz.-katolickiego w dziejach ludzkości jest rozmaicie komentowaną, zależnie od punktu widzenia, ale wszyscy jednogłośnie uznają jego doniosły wpływ i znaczenie. Kraj nasz nie stanowi wyjątku, przeciwnie — kościół, kler zawsze czynnie tutaj występują. Zarówno rozkwit jak i zmierzch swoistej kultury krajowej wiąże się ściśle z udziałem w pracy takich lub innych jednostek spośród ducho-

wieństwa katolickiego. Duchowieństwo i dzisiaj i co do najbliższej przyszłości wykazuje wielką, może zbyt nawet wielką ekspansywność, nie tylko na terenie sobie właściwym, ale i w polityce państwowej i w walce narodowościowej, bodaj w każdej dziedzinie życiowej. I dlatego jest to jeden z czynników z którym liczyć się wszyscy muszą. Wobec zaś osławionej żelaznej, zdyscyplinowanej organizacji kościelnej, zrozumiałe zainteresowanie budzą osoby biskupów, jako zwierzchników i kierowników całych rzesz księży.

W granicach państwa polskiego mamy u siebie dwie, a właściwie dwie i pół diecezje katolickie — wileńską, nowo-utworzoną pińską i kilka powiatów, należących do Łomży. Jak są ważne stanowiska biskupów diecezjalnych możemy wnioskować chociażby z tej walki zawziętej, która wrzała dookoła osoby byłego biskupa wileńskiego ks. J. Matulewicza. Widzimy to też z posunięć, ukazujących się od czasu do czasu w prasie, a inspirowanych przez właściwe duchowne i nieduchowne czynniki, względem ks. Z. Łozińskiego, biskupa mińskiego, teraz zaś, wobec konkordatu zawartego z Rzymem, domniemanego b-pa pińskiego.

Dlatego to właśnie bliższa znajomość dostojników, władzę w kościele dzierżących, jest i wskazana i pożądana. Biskup Matulewicz nie miał swojego biografa, koła szersze znały go wyłącznie na podstawie informacji różnych świstków endeckich, a ludzie, co znali go bliżej i rozumieli właściwie, — nie zdobyli się (nie mogli, czy nie chcieli?) na walkę pozytywną, przedstawiając jego istotne oblicze. Drugi nasz biskup jest szczęśliwszym w tym wypadku, bo wiem broszura pod tytułem wyżej podanym poświęcona jest jego osobie, omawia jego charakter, przekonania i dążenia.

Nie znaczy to, by broszura ks. Czeczotta odpowiadała w zupełności swemu zadaniu, by całkowicie mogła się przyczynić do odtworzenia postaci biskupa na tle naszych, narodowościowo przedewszystkiem, powikłanych stosunków.

Autor stara się pisać popularnie. Pragnie trafić widocznie do bardzo szerokiego ogółu. Wyjaśnia przeto rolę i misję biskupów w kościele katolickim, w sposób zresztą nie nadzwyczajnie szczęśliwy, mówiąc o wierze katolickiej: „Zwykle wiarę katolicką nazywamy wiarą *polską* (!) Jest to o tyle sprawiedliwa nazwa, że Polska była zawsze i jest narodem katolickim“. Zostawmy jednakże narazie bez komentarzy to powiedzenie, tchnące... staroświeczczyzną i przejrzyjmy pokrótce dzieje diecezji mińskiej, założonej w r. 1798. Liczyła ona w chwili powstania swego 231,480 wiernych, rozrzuconych pośród trzech milionowej ludności unickiej początkowo i prawosławnej, a po kasacie unji wyłącznie już prawosławnej. Zniesienie unji powoduje skasowanie diecezji, bowiem rząd rosyjski dążył do zaprowadzenia powszechnie prawosławia. Nie mogąc zaś w sposób bezwzględny je narzucić, wszczyna akcję wprowadzania rosyjskiego języka do kościoła, powodując się racją, że polskiego nikt z włościan nie rozumie, a przecież *gros* katolików diecezji — to włościanie Białorusini. Znaleźli się chętni wykonawcy tych poczynań rządowych w gronie księży. Zostaje wprowadzony język rosyjski, początkowo w modłach podczas dni uroczystych, a później zastępuje on w zupełności polski. Większość parafii trwa wszakże w dawnym sposobie odprawiania nabożeństw. Tymczasem dawna mińska diecezja, przyłączona począt-

kowo do wileńskiej, staje się później częścią mohylewskiej. Dzięki interwencji papieża, następnie zaś w konsekwencji ruchu wolnościowego w roku 1905, katolicyzm odzyskuje pewną swobodę. Zarzuty rasyfikacyjne wobec kościoła ustają. Aż wreszcie wojna ostatnia powoduje restytucję, po kilkudziesięcioletniej przerwie, stolicy biskupiej w Mińsku.

Oto kanwa, na której autor kreśli desenie, zgodnie z ogólną zapowiedzią swoją identyfikacji polskości i katolicyzmu. Nie można zarzucić autorowi tendencji nacjonalistycznej, ale jest tak nadzwyczajnie przeżyty sposób patrzenia na współczesne życie, że wprost rozbraja krytyka. Widocznym jest oderwanie się od czynnego życia kilkunastu ostatnich lat, niezdawanie sobie sprawy, że okres, kiedy faktem niemal codziennym było zjawisko: „*A ja wieda! szto maja skóra macniejsza od waszej wiery* — powiedział to chłop białoruski w swoim języku rodowitym, ale cierpiał za wiarę polską (!), którą za swoją uznaje“, należy do przeszłości. Transponowanie uchwyconych poruszeń natury czysto subiektywnej, na skalę niby zupełnego obiektywizmu nawet o ile jest szczerem, nie może posiadać przecież żadnej wartości. Fakt udziału włościan białoruskich i litewskich (Żmudź) w powstaniu 1831 i 1863 r. bardziej licznego często niż na obszarach rdzennej Polski — nie może świadczyć o polskości dzisiejszych Litwinów i Białorusinów! Nowoczesna publicystyka polska zdaje sobie sprawę z tych zmian. A przyjęcie, jako faktu dokonanego, tych zmian jest *conditio sine qua non* do prostej drogi w naszych stosunkach krajowych również i w dziedzinie religijnej.

Autor widocznie nie może stanąć na tej nowej, obcej sobie płaszczyźnie myślenia, pomimo chęci najlepszych... Bo oto mówi sam: „Każdy naród ma prawo modlić się w swoim ojczystym języku, choćby to był język pierwotny i niewyrobiany. Kościół zawsze trzyma się tej zasady i dla tego misjonarze uczą się gwary i narzeczy ludów dzikich, aby przemawiać do nich ich własną mową, trafić do duszy i do serca. Mową ojczystą chłopów w Mińszczyźnie jest język białoruski, podobny z jednej strony do polskiego, a z drugiej do moskiewskiego“. I jedna i druga przesłanka niezbite — wniosek sam się nasuwa. Ale autor zaraz widzi trudności. „Ten zatem, co by chciał *po białorusku* w kościele do nich przemawiać, żeby go lepiej zrozumiano, miałby rację (!), ale tylko wtenczas, gdyby lud sam tego chciał, sam się o to dopominał“. To „*ale*“ jest niezmiernie charakterystyczne.

A oto ustęp, malujący może najwymowniej anachroniczne zapatrywania autora.

„Wszędzie postawa ludu była jednakową, wszędzie bronił nie tylko katolickiej, ale i polskiej tradycji, a bronił nie wskutek instygacji duchowieństwa i obywateli, ale pomimo nich, całkiem samodzielnie. Polecam to uwadze tych, co marząc o kwestji białoruskiej, skłonni są teoretycznie swoje mrzonki gwałtem ludowi narzucać, z rzekomo udanej ku niemu miłości“. Jeśli teraz uprzytomnić sobie chociażby głośny plebiscyt językowy w kościele w Żodziszkach, *wypadek pojedynczy, ale nie jedyny przecież*, to jak szybko muszą się zachwiać powyższe obawy ks. Czeczotta. Z żywymi naprzód trzeba iść, inaczej nie potrafimy zrozumieć życia i będziemy niezrozumiani sami.

Część druga broszury, charakteryzująca specjalnie osobę ks. biskupa Łozińskiego, obejmuje całe jego życie, od lat dzieciennych aż do chwil ostatnich.

W zarysach będzie to mniej więcej to samo, co mogliśmy wyczytać w prasie z lat ostatnich, a więc o pracy w Mińsku w czasie pierwszego najścia bolszewików (1918—19 r.), następnie drugiego (r. 1920), dalej o uwięzieniu w Moskwie i powrocie do kraju. Postać bez skazy, zawsze wierna swoim obowiązkom. Ale charakterystyka nie zawiera *wielu* stron bodaj że najciekawszych właśnie. Powody, dla których biskup jest uważany za Moskala (?), za zajadłego Białorusina i białorusomana, są pominięte milczeniem, lekko tylko o nie się potrąca. I to dużo ujemuje z obrazu, jaki możnaby sobie było odtworzyć, wiążąc dorywcze opowiadania oraz wrażenia poszczególnych ludzi z obcowania osobistego z biskupem. Wnioskując tylko z broszury, możnaby dojść do przeświadczenia, że biskup Łoziński — Polak, gorący patriota, zbyt często zapomina, że jest pasterzem w Mińszczyźnie właśnie, z jej wszystkimi właściwościami, a nie np. w Kielcach lub Lublinie... W rzeczywistości, zdaje się, jest, inaczej. Stwierdza to przytoczony *in extenso* artykuł biskupa „W rocznicę traktatu Ryskiego” z którego charakterystyczniejszy ustęp podajemy:

„Najprzód, kwestja granicy. Zdaje się, że bardzo jasną jest rzeczą, iż podział Białej Rusi, czyniący wrogowi podarunek darmowy z ogromnych przestrzezi, które *całkiem jednakowe prawa mają należeć do Polski, jak obecne województwa: nowogródzkie, poleskie, wołyńskie*, jest krokiem zgoła fałszywym; tem fałszywszym, że podzielono tu ziemię, stanowiącą pewny samoistny organizm, czyli dopuszczono się czynu, *noszącego w sobie samym zaród swej nie trwałości i źródło przyszłej pomsty dziojowej*, która nazbyt często wymierza z całą surowością chłostę za naruszoną sprawiedliwość.

„...Ale nie są to rzeczy dogmatycznie pewne. Więc chociaż wiemy, jakie argumenty były stawiane w obronie odseparowania od Polski rzekomego „wrzodu białoruskiego” (chyba jego połowy?) i nie uznajemy ich siły, jednak nie będziemy ich zbijali, bo nie mamy zamiaru przekonywać zwolenników podziału Białej Rusi (który według nas jest także nowym podziałem Polski), że racji nie mają”. I dalej jeszcze obszernie uzasadnia ks biskup swój negatywny pogląd na pokój w Rydze, patrząc na wszystko oczyma nie tylko obywatela—Polaka, ale i duchowego opiekuna katolików — Białorusinów, jego pieczy powierzonych.

Ks. Czeczott stoi blisko osoby biskupa, musimy tedy oczywiście polegać na jego informacjach i wrażeniach, ale możemy czuć trochę żalu, że nie otrzymaliśmy całości obrazu. Znowuż trzeba jednak uprzedzić sobie, że ks. Czeczott nie widzi, dostrzec nie potrafi, a gdy i widzi — nie może zrozumieć nowych prądów jako też odmiennych horyzontów — co zdaje się, jest udziałem również biskupa Łozińskiego. Jak dalece, twierdzić nie możemy oczywiście, bliżej biskupa nie znając.

Dryhwicz.

„Lietuviu Tauta”. Lietuviu Mokslo Draugijos rasztai. Knyga III sasiuvynys 3, Vilniuje „Ruch” spaustuve 1925 m.

Litewskie Tow. Naukowe w Wilnie dzięki nieustrudzonym wysiłkom prezesa dr. Basanowicza daje

o sobie znak życia, pomimo, że szeregi czynnych współpracowników mocno zrzedły, przenosząc się do Kowna.

Ostatni rocznik Tow. składa się wyłącznie z prac dr. Basanowicza: „Ueber die Sprachverwandschaft der alten Thraken und heutigen Litauer”, „Trakiu kalbos likuciai vietu varduose lietuviu kalbos szviesoje”, „Deliai Daidaliaus ir jojo labyrinto”, „Vilnius lietuviu dainuose”. Wyczerpująca „Kronika”, zamieszczona na końcu rocznika, dobitnie świadczy, że T-wo, mimo ciężkich warunków, trwa na swym stanowisku, tworząc dla litewskiej nauki mocne podwaliny.

Wł. Sak.

KRONIKA.

Ponowne aresztowanie ks. Godlewskiego. W nocy z 29 na 30 września, z rozkazu sędziego śledczego pow. Święciańskiego, ponownie został aresztowany probosz z żodzicki ks. W. Godlewski i osadzony w więzieniu na Łukiszkach. Po raz pierwszy ks. Godlewski był aresztowany w czerwcu i wypuszczony za kaucją 1000 zł. Na znak protestu zasłużony działacz białoruski rozpoczął w więzieniu głodówkę.

Akcja samolstna. Nowy litewski minister spraw zagranicznych prof. Reynis w wywiadzie, udzielonym prasie kowieńskiej, oświadczył, że pertraktacy pomiędzy Litwą a Polską w Lucernie nie należy uważać jako dalszego ciągu konferencji kopenhaskiej; gdyż ostatnie pertraktacje pod naciskiem opinii publicznej doprowadziły do dymisji gabinetu Petrulisa. Na nową konferencję trzeba patrzeć jako na akcję samoistną.

Wymiana więźniów politycznych. D. 2 b. m. w Rydze odbyła się wspólna konferencja przedstawicieli polskiego i litewskiego Czerwonego Krzyża w sprawie wymiany więźniów politycznych. Konferencja zakończyła się pomyślnie. Wymiana więźniów nastąpi d. 23 października na stacji Orany pomiędzy Wilnem a Grodnem w obecności przedstawicieli obydwóch delegacji.

Tegoż dnia przewodniczący delegacji litewskiej dr. Szliupas wydał bankiet, w którym wzięli udział delegaci polscy oraz przedstawiciele litewskiego Czerwonego Krzyża.

Pomyślny wynik Jasną plamą na ciemnym tle naszych stosunków oświatowo narodowościowych były egzaminy maturalne w gimnazjum litewskim im. Witolda Wielkiego w Wilnie. Po raz pierwszy abiturjenci gimnazjum litewskiego składali egzaminy w ojczystym języku przed komisją oficjalną, której przewodniczył prof. St. Kościółkowski a w której brał również udział prof. Otrębski. Wynik egzaminów był nader pomyślny, bo na 10-ciu egzaminujących się — 9 otrzymało matury. W tym razie więc Uniwersytet Wileński będzie miał również słuchaczy — Litwinów.

Obchody jubileuszowe. Za przykładem szkolnictwa polskiego szykują się również do uroczystych obchodów dziesięciolecia swego istnienia szkolnictwo litewskie i białoruskie.

Pierwszą szkołę białoruską w Wilnie zorganizowała A. Kajrysowa (znana w szerokich kołach pod pseudonimem „Ciotki”) wspólnie z p. Począpką. Poświęcenie jej odbyło się d. 15 listopada 1915 r. Rychło potem powstały jeszcze cztery szkoły w różnych dzielnicach miasta, następnie kursy nauczycielskie; najpóźniej zostało założone gimnazjum białoruskie.

Z prasy. Zamiast zawieszzonej „Krynicy” zaczęło wychodzić pismo p. t. „Bielaruskaja Krynica”. Po dłuższej przerwie ukazał się № 8 pisma „Żyćcio Bielarus”. Wznowione zostało wydawnictwo gazety „Vilniaus Aldas”.

Na terenie okręgu administracyjnego wileńskiego wychodzi 37 czasopism, z których 2 państwowe „Dziennik Urzędowy Delegata Rządu w Wilnie” oraz dwutygodnik „Reduta”, który jest poświęcony przysposobieniu wojskowemu, wychowaniu fizycznemu i oświacie pozaszkolnej, jeden miesięcznik kościelny Kurji Djeceżalnej Wileńskiej, reszta czasopism w liczbie 34-ch stanowią własność prywatną, z których 9 czasopism jest codziennych, 13 tygodniowych, 5 dwutygodniowych, 3 pisma, wychodzące 3 razy tygodniowo i 4 miesięczniki.

Treść numeru:

Nieunikniony koniec. — O profesora Białorusina — B. Począpko. — „Białorus”. — Licz. Z mego notatnika. — M. Gold. Przegląd prasy żydowskiej. — Biblijografia. Kronika. — Odcinek H. R. Wycieczka nad Narocz.

Wydawca i redaktor Ludwik Abramowicz.

Druk. „Lux” Wilno, ul. Gen. Żeligowskiego № 1.